1. i 2 NUMER. STYCZEN 1910. ROK II.

NA ZIEMI NASZEJ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

ZYGMUNT LUBERTOWICZ.

TATRY.

Prometeusz.

Te turnie nad przepaścią stanęły, jak źrebce
prując piersią zuchwałą, modrą toń błękitu,
stąd ślepiami krwawemi patrzą w piękno świtu,
który łby ich rumieni zorzą, — cuda szepce! —

zawisły ich mocarne kopyta z granitu
nad urwiskiem, zda ci się huf olbrzymów zdepce
glob strwożony naporem, — lub Hellady ślepce
wskrzesili ród Gigantów dźwięczną pieśnią mitu,

hej co za rozkosz boska, dosiąść tych rumaków
potwornych — i w twarz słońca patrzeć się oczyma
i rozpocząć lot w słońce, lot olbrzymich ptaków!

hej co za rozkosz boska, te dłonie drgające
wyprężyć w przestrzeń nieba i czynem olbrzyma
znieść tej ziemi królewskie, ciepłe, jasne słońce!

Klątwa.

pamiętam jak dziś jeszcze złote gwiazd kagańce
lśniły na Tatr lodowej, srebrnej kolumnadzie,
w chwili kiedy wieczorny zmierzch swój djadem kładzie
na czoła gór, na szronem rozkwiecone szańce!

mróz się srożył... tej w zmierzchu idącej gromadzie
kobiet i chłopów, co szli, jak w Sybir wygnańce,
wsłuchiwałem się słysząc. jak szepcą różańce,
kobiety, — chłopi gwarzą zaś o gminnej radzie! —

byłem dobrze ubrany, miło mi i ciepło
było... próżno mróz ostrzył na śniegach pazury,
nie czułem, choć do wnętrza przejął ziemię skrzepłą!

aż chłopek jakiś, który obok szedł skulony
z zimna, nędzy, pięść podniósł ciężką, krwawą w góry,

zrozumiałem... przed taką klatwą bledną trony!

Morskie Oko
(świt).

helleńska-ż boska czara zgranitu-ż to wykuła,
której się nimb słoneczny, rozkoszny wokół śmieje,
alboż to boski Hermes z tej czary nektar leje
nimfom? — byłożby dzieło to Fidjasza dłuta?

hej błyszczy modra fala, nad „Morskiem“ świta, dnieje,
różowi się kamienny, żelazny gród Mamuta,
hej jaka-ż moc w tych grzbietach, hej jaka-ż czer-
[stwość luta,
hej jakie-ż szły już tędy wichury i zawieje!

hej, hej przedemną modra jeziora tafla klęczy
i świt pierś moją okrył królewskim płaszczem słońca
hej oto pełnię toast rozkoszny, mój młodzieńczy

hej żyj ty moja jasna, ty ranna, złota jutrzni
oto jak Bóg dziś władnę od końca gwiazd do końca,
nigdy życie nie drgało we mnie głośniej, huczniej!

Kościeliska.

atrium-ż to Homera z skalnych żebr rozchyla
się różane? — filary hen w przestrzeń się piętrzą,
tajemnicę tu jakąś odwieczną, najświętszą
kryje w sobie ta dzika, kamienna idylla! —

możesz tonów kaskada być jeszcze gorętszą,
jak to łoże potoku, które się co chwila
błyskoce tęczą słońca, to skrzydłem motyla,
możesz sarna ścigana, być od tych fal prędszą?

usiadłem nad strumieniem hen w smreki się patrzę,
oto z regli przybrzeżnej gruz upada w przepaść...
hej smutni, smutni ludzie w tym rzeczy teatrze,

coś mi się dziwnie widzi... z ponad skalnej perci
idzie cichy duch ku mnie... i by w strumień nie paść
zasłaniam oczy dłonią... hej to anioł śmierci!

O kulturze wsi polskiej.

Opinia społeczna, odnosząca się do stosunku między wieszczami a wsią polską — zbudowana jest na głębokiem, przykrem nieporozumieniu. Jest to jeden z tych liczmanów mowy, które kursują, bo się ich nikt nie pyta o legitymację. Mickiewicz, Słowacki — — na wsi!? Choć zresztą mówi się o tem jeno przy okazji, gdzie powiedzenie takie nabiera namaszczenia, okazałości, coś jak „Paradebauer“ z pawiem piórem! Bliższa konfrontacja w takich razach jest dość niebezpieczna. A jednak ta wstydliwość jest niedorzeczna, trzeba ją usunąć, zdać sprawę z włodarstwa swego. — Jubileusze obchodzimy, boć to już setka lat, a cóżeśmy z Ich puściną uczynili? Górnie się dziś mówi o Polsce ludowej, a czyż Polska bez Mickiewicza, Słowackiego istnieć może? A co lud wie dzisiaj o tych „polskich świętych“?

Mickiewicz marzył kiedyś o „zabłądzeniu pod strzechy“ i te słowa fatalną ironią zawisły nad dzisiejszością. Prawdziwie, że jeno z „zabłądzonych“ wieści wie chłop o wieszczach naszych; rzetelnej, planowej pracy nad rozpowszechnieniem ich kultu — dotąd nie było. Mickiewicz — powiada się — najwięcej znany. Zapewne! są książeczki o Mickiewiczu, ale dzieła jego ani w części nie są znane. A o Słowackim, Krasińskim — ani mowy. Czyżby to zaniedbanie pracy fundowało się na jakiejś niemożliwości jej, czyż były może próby nieudałe, czy są jakie widoczne powody contra?

Kto i kiedy podejmował próby takie? Przecież my — krom 2 tomików Macierzy polskiej nie mamy ludowego wydania wieszczów. Broszurki o nich są co najwyżej pół-środkiem, te nas przed odpowiedzialnością zaniedbania nie zasłonią. Ludowi trzeba zanieść dzieła wieszczów! A to uświadomić sobie musimy: tu zaniedbanie jest grzechem przeciw Duchowi Narodu, grzechem wobec przyszłości — nieodpuszczalnym. I niema sofizmatu, któryby to osłabił. Ale — — prawda! u nas przecie „inteligencja“, nie zna jeszcze wieszczów. Po ukazaniu się książki A. Górskiego (Monsalvat) okropnie się dziwiono, że to taki Mickiewicz istnieje! P. Z. Wasilewski zaś rychło znalazł, że poznanie takiego Mickiewicza może być narodowi — niebezpieczne... Jest w naszym stosunku do wieszczów jakieś osobliwe nieporozumienie. Ich „siła fatalna“ zaciążyła nad narodem, a my chronimy trwożliwie oczy, jakbyśmy nie mieli mocy ni odwagi: podjąć jej. Żadne głupstwo nie wyrządziło narodowi tyle i takiej szkody, jak to, które ubrane w togę i gest profesorski ferowało wyroki o „obłędzie“ wieszczów. A wobec tego czyż można się dziwić, że lud nie zna ich pism, czynów?

Ale teraz — strojąc „gute Miene zum bösen Spiel“ — suspiruje się argumenty o rzekomej niezrozumiałości wieszczów dla chłopa. („Słowacki nie wnet jeszcze zawita pod strzechy!“) Otóż argumenty takie — na powietrzu budowane — są z gruntu fałszywe, a są szkodliwe społecznie.

Dusze wieszczów są koncentryczne z duszą narodu, więc duszą ludu. Nie wyrośli oni w cudzych, dalekich światach, ale się na własnej ziemi chowali. Romantyzm wykwitł także i z pieśni ludowej, on pieśń tę podniósł, uszlachetnił, w glorję przepychów ubrał i miałżeby lud tej pieśni wyprzeć się, nie poznać? Dusza chłopska jest szeroka. Ma władze i zdolności, o jakich się często i nie śni dyletantom ludofilstwa.

Ma przedewszystkiem szeroką, żywą wyobraźnię twórczą. Przykładów, dowodów — możnaby zebrać zastępy, świeżych, omal że dzisiejszych. I ma ten zmysł cudowności, o którym mówiłem w poprzednim artykule*). Znaczy to: ma wrażliwość twórczą i receptywną. Więc przemówią do tej duszy opowieści rycerskie o mściwym Wallenrodzie, o mężnym Irydionie, słuchał będzie uważnie i z przejęciem dziejów zbrodniczej Balladyny i złocistego Kirkora, zapłacze z Derwidem nad białym trupem Lilli Wenedy. I nie trza mu „dla uproszczenia“ wykreślać smętnej Goplany, przecież to dobra znajoma jego, boginka leśna!

Ale zmysł cudowności powierzchownie, w oderwaniu wzięty, degeneruje się rychło, wyradza w nadto dobrze znaną miastom żądzę sensacji. Tego na wsi niema. Bo tu zmysł ów nie jest napływowy, wtórny, ale jest integralną cząstką psychiki ludowej. Ma podstawę w cechach najgłębszych, najistotniejszych. Rodzi go głęboka, żywa, niejako à priori dana religijność. Tak! Chłop jest religijny w najwnętrzniejszej swej istocie, w najgłębszem tego słowa znaczeniu. Poznali to już ci pierwsi „ludowcy“, romantycy (Herder, u nas Z. D. Chodakowski, Mickiewicz). Oto co mówi jeden z nich, człowiek bystry, głęboki, Wilh. Schlegel: „Die alten katholischen Kirchenlieder, voll der kühnsten Allegorie und Mystik waren und sind höchst populär; die neuen, vernünftig gehalten und wasserklaren sind es ganz und gar nicht... Wer für das Volk etwas schreiben will, das über dessen irdische Bedürfnisse hinausgehen soll, darf in der weissen Magie, oder in der Kunst der Offenbahrung durch Wort und Zeichen nicht unerfahren sein“. To co Niemiec nazwał sztuką (?) objawienia, to jest dla Polaka — Bożym darem, „zdolnością odbierania wyższych natchnień“ (Mickiewicz).

I to jest fakt. Słowo głębokie, natchnione mówi do duszy chłopa, chłopa polskiego przedewszystkiem. On ma tajemną zdolność czucia — choć może nie zawsze pełnego rozumienia — głębi.

Widziałem chłopa w cichej, żarliwej modlitwie nad książką, której tytuł „O naśladowaniu Chrystusa“ Tomasza a Kempis; rzekł mi z prostotą,

---

*) Patrz »Na ziemi naszej« Nr. 16 z sierpnia z. r.

że to piękna książka. Znam takich, którzy Ewangelie bezmal że na pamięć umieją. A ludzie to prości, nieuczeni. Kogóż nie podniosła ku Bogu nieskończona głębia kościelnych hymnów, kto ich nie słyszał spiewanych z proszącej, rozmodlonej piersi w okół polnej figury — w dnie krzyżowe? Naturalnie — ta religijność nie jest cechą bijącą w oczy, jej chłop nie ma na pokaz. Takim jest w swoim wioskowym kościele, albo na polu dojrzewających zbóż.

I oto poprzez ten przedziwny most łączą się tajemne głębie dusz. Szczyty się stykają. Ta sama wysoka, ekstatyczna, wewnętrzna religijność stanowi centrum duszy wieszczów. Oto dalszy stopień duchowego krewieństwa, dalszy powód, dlaczego oni do siebie mówić będą serdecznie, prosto. A taka rozmowa poprzez dalekość czasów i rozgwar życiowy dobra jest, daje siły. To lud wie, zawarł to w wierze w pozagrobowe opiekuństwo Ojców nad kawałem ziemi, którą uprawiali. I trzeba — dziś przedewszystkiem — żeby lud otworzył dusze na ich wielkie, miłością pełne słowa; w nich palladium życia. Nie wegetowania, ale życia. O godność życia pracowali wieszczowie. Ich trud jest korną, bolesną modlitwą wersetu psalmowego: „Serce czyste stwórz we mnie Panie, a ducha prawego odnów we wnętrznościach moich“. I w tej pracy o ducha prawego — wartość ich najwyższa. Niech nikt nie wojuje tu mistycyzmem! Ta prawda, że cnota zwyciężyć musi, że człowiek ma obowiązek pracy nad oczyszczeniem, odrodzeniem duszy — to nie mistycyzm, to najrealniejsza rzeczywistość, to zarazem obowiązek polski. Świadomość, oczywistość tego obowiązku budzą słowa wieszczów. A tylko tędy wiedzie droga do uświadomienia narodowego.

Czemże wobec tego argument o niezrozumiałości? Jestże niezrozumiałość wielkością absolutną? nie zależy-że ona tylko od stopnia obznajomienia się, zżycia? A podstawą życia jest umiłowanie. W umiłowanie dusza chłopska bogata jest. Trzeba więc jeno pracy i dobrej woli.

Trzeba słowa wieszczów wprowadzić do chłopskiej chałupy. Marzył o tem nie tylko Mickiewicz, w te chwile słał tęsknotę swoją i czczony jubileuszem Słowacki (Listy do matki). Więc dziś niech się tęsknota jego spełni! Niech się okaże ludowe wydanie pism wieszczów (ludowe — nie znaczy skracane czy adaptowane!), tanie tomiki z komentarzem. Ten pisany być musi jasno, zwięźle a z ukochania i z myślą o tym, dla którego on pisany. Wzór takiego komentarza trzeba stworzyć, niema go dotąd jeszcze.

Trzeba wprowadzić utwory wieszczów na scenę ludową; nie krępować się trudnościami krawieckiemi czy innemi; piękność przemówi i poprzez braki i poprzez prostotę.

Trzeba szerzyć kult wieszczów przez zebrania, odczyty, wspólne czytanie. Tu żywy komentarz stokroć więcej zdziała od drukowanego, działać będzie ogień ukochania, który z duszy idzie i w papier zakląć się nie da.

A w owoc bogatą będzie ta praca radosna. Da podwaliny kultury duszy chłopskiej. Chłop niemiecki, włoski, czy angielski może nie znać Goethego, Danta, Szekspira, chłop polski wieszczów znać musi, bo ma tworzyć szczytne życie polskie, a Oni mu pokażą drogę!

Stanisław Pigoń.

Dwa portrety.

Jednem z najwdzięczniejszych zadań dla polskich malarzy historycznych było oddawna odtworzenie postaci królewskich. Toż już od zarania epoki, w której można mówić szerzej o polskiem malarstwie, od Bacciarelego, posiadamy galerje portretów królewskich, więcej lub mniej udatnych, z większem lub mniejszem historycznem prawdopodobieństwem pojętych i wykonanych. O nich wszystkich to ogółem można powiedzieć, że mimo bardzo obfitego materjału ikonograficznego i historycznego, w każdym portrecie królewskim tyleż jest intuicji i malarskiej indywidualności, ile historycznej spuścizny. Autentycznych portretów królewskich nie wiele posiadamy, a opracowania późniejsze w każdym razie są tylko dokumentem, jak sobie dany artysta, twarz daną królewską wyobrażał.

Portrety współczesne, nagrobki, medale, nieraz, w czasach odleglejszych pieczęcie a głównie sztychy, stanowią, obok pamiętnikarskich wspomnień, główny materjał ikonograficzny. Czerpał też z niego pełną dłonią Matejko, a jego galerja portretów królewskich — wiadomo — ile zawiera, mimo to, jego artystycznej indywidualności.

Jeżeli jednak o indywidualność chodzi, to najwięcej chyba włożył jej Stanisław Witkiewicz w te portrety królów polskich, które wyszły z pod jego ołówka.

Ozdobą starych, chociaż zawsze bardzo cennych roczników „Kłosów“ są te właśnie portrety królów polskich, rysowane przez Witkiewicza, a to tak pod względem artystycznym, jak i techniki reprodukcyjnej. Stanowią one bowiem i dokument jego zapatrywań na historyczne malarstwo, zapatrywań, w których ojciec polskiej krytyki tak odmienne od Matejki sądy wyrażał i przekonań o poszczególnych epokach naszych dziejów. Pod względem zaś techniki reprodukcyjnej są one najlepszym może wzorem tego, co polska sztuka drzeworytnicza, w czasach istnienia drzeworytni „Kło-

sów“ działalności Holewińskiego — jednem słowem — w okresie największego swego rozkwitu, wydała.

Obok, niestety w cynkograficznej tylko odbitce, podajemy dwa — zdaniem naszem najpiękniejsze Witkiewiczowskie portrety królów polskich: portret Zygmunta Starego i Jana Kazimierza.

Inną jest twarz Jana Kazimierza. Twarz człowieka, który pięknym nie był, a w charakterze swoim zawsze miał nieobliczalne popędy. Ale u Witkiewicza twarz ta jakimś, jakby bolem wykrzywioną została, bolem który długo w sercu



ZYGMUNT STARY
(według portretu St. Witkiewicza.)



JAN KAZIMIERZ
(według portretu St. Witkiewicza.)

Zygmunt Stary i Jan Kazimierz — dwie dziejowe sprzeczności, dwa charaktery krańcowo przeciwne, dwie w dziejach naszych epoki — złotego wieku i upadku. U Witkiewicza jest Zygmunt Stary mądrym i przezornym gazdą — rozum i spokój bije z tej twarzy, tak wprawdzie mało podobnej do tego, co nam współcześni medalierzy pozostawili, a co tak trafnie uchwycił Matejko w „Hołdzie pruskim“ — a jednak tak uduchowionej, wzrok przykuwającej, jakby się na niej skrystalizować miała cała epoka dobrego, rządnego gospodarstwa i gospodarskiej zabiegliwości.

nurtował, tak że pod jego wpływem rysy skamieniały w pewien bolesny, stały wyraz.

Takim jak na portrecie Witkiewicza, mógł być Jan Kazimierz w jednej tylko chwili swojego życia. To wówczas gdy abdykował, gdy ze skołatanej głowy zdjął koronę i składał ją w ręce sejmujących stanów Rzeczypospolitej. Chyba w tej chwili, gdy makaroniczno-kościelną łaciną żegnał się z Polską i przyszłe jej losy wieszczył na równi z Fryczem Modrzewskim i Piotrem Skargą — chyba wtedy mógł przybrać Jan Kazimierz Witkiewiczowskie rysy.

Czy potrzeba nam akademji?

W jednem z pism warszawskich pragnie p. Wacław Grubiński założenia na wzór francuskiej, lub Goncourtów, Akademji polskiej, któraby mianowała „nieśmiertelnych“, dając im równocześnie doczesne zasiłki. Zrobić to jak sądzi autor pomysłu — ogromnie łatwo. Bowiem ten doniosły czyn zależy od jednostki, od kochającego kraj swój patrjoty. Dzieło wielkiej kulturalnej siły się

powiedzie, gdy zapragnie tego jeden polski Richelieu, jeden Goncourt-Polak... przyszły założyciel *Akademji Polskiej* — na wzór *Akademji Francuskiej*.

Akademja tego rodzaju, wobec braku u nas kultury literackiej, oddaćby mogła literaturze nienieocenione usługi. Dając minimalne pensje swoim członkom (Akad. Franc. wypłaca członkowi 1500 fr. rocznie; Akad. Goncourt'ów — 6000 fr. Członków Akad. Franc. jest czterdziestu; w Akad. Goncourt'ów — dziesięciu; w Akademji Polskiej — jako jedynej tego rodzaju instytucji u nas — mogłoby być dwudziestu pięciu) — rozwinęłaby poczytność wielu literatów. Nie znać nowego dzieła członka Akademji! czyż się zdobędzie na to człowiek, należący do inteligencji?! Na okładce książki podpis pod nazwiskiem autora: „Akademik“ — zobowiązuje publiczność. A konkursy Akademi Polskiej i nagrody! W uroczystościach przyjmowania nowych „nieśmiertelnych“ na miejsce... umarłych, bierze udział cały czytający naród. Wszystkich obchodzi, kto będzie wybrany, każdy ma swojego kandydata, krzyżują się zdania i rozstrzygają sprawy estetyczne, filozoficzne, czysto artystyczne... urabia się smak, ostrzy się sąd... od Akademji Polskiej idą cywilizacyjne kręgi w społeczeństwo, jak od kamienia rzuconego w wodę... W ten sposób naród, posiadający już wielkich pisarzy, zacznie mieć Literaturę.

Nasze piśmiennictwo, mimo Mickiewiczów i Słowackich, zajmuje w ojczyźnie prawie takie samo miejsce dzisiaj, jakie piśmiennictwo francuskie zajmowało u siebie przed założeniem Akademji Francuskiej. Przedtem literat był prawie nicością, traktowano go mniej więcej tak w szerokich kręgach społeczeństwa Francji, jak poniekąd jeszcze dziś traktuje się w obywatelskich sferach Polski wszystkich „literatów“ (twórców, dziennikarzy, reporterów — słowem bez różnicy, tj. nieco z góry). Tę barbarzyńską krzywdę, dziejącą się literaturze naszej, więc i społeczeństwu, należy naprawić. Należy stworzyć „Akademję Polską“. Jeden światły i bogaty Richelieu, jeden Edmund Goncourt — zakładają Akademje, roznoszące po kraju kult piękna i twórczej myśli — to też szczęśliwa Francja, dzięki tak gorącym i tak światłym patrjotom, przodowała i przoduje dotąd europejskiemu, więc całemu światu.

I my posiadamy miljonerów. Ale pieniądz tyle jest wart, ile jego przypadkowy władca... Nasi milionerzy o historycznych nazwiskach, żyją niemal wszyscy życiem ogromnie... prywatnem. Wolą mieć spokojne przeświadczenie, że gdzieś w banku, tutaj albo zagranicą, procentują się cicho ich rulony złota — niż te rulony złota, bezpłodnie dla kraju i dla bezpośrednich posiadaczy tyjące, jak nieśmiertelne wieprze w fantastycznym karmniku, zamieniać w bogactwo ojczyzny, przetapiać w instytucje społeczne. Zato między Polakami tylko bogatymi (nie miljonerami) trafiają się, lecz rzadko, jednostki rozumne z głębokiem poczuciem patrjotyzmu. Wystarczy przytoczyć dar Jerzmanowskiego. Coroczna jedna niepodzielna nagroda za najlepszą literacką pracę wynosi z tego zapisu 25.000 (dwadzieścia pięć tysięcy) reńskich. U nas, gdzie tak bardzo trudno wyżyć z pióra (a gdzie to pióro jest tak niezmiernie potrzebne!), jest to fundacja pierwszorzędnego znaczenia społecznego: uwalnia co rok jednego literata z pod jarzma pospiesznej, więc niewykończonej często pracy; z pod jarzma wydawców.

Dalej, rozgłośna nagroda Jerzmanowskiego co rok uczyni sławnym — lub sławniejszym — jednego polskiego pisarza, czyli uczyni go o wiele poczytniejszym, czyli zbogaci społeczeństwo o przemyślenie pewnego światopoglądu, o przeżycie pewnych wzruszeń artystycznych.

Zapis Jerzmanowskiego wynosi niemal tyle, co budżet Akademji Francuskiej, który jest obliczony na sto tysięcy dwadzieścia franków (100.020 fr.). Nagroda Jerzmanowskiego ma ogromną wartość, była potrzebna i spełni zadanie pierwszorzędnego znaczenia. Uwaga o budżecie Akademji Francuskiej stwierdza tylko łatwość założenia takiej instytucji u nas, gdzie jednostek, które stać materjalnie na stworzenie tak potężnej kulturalnej strażnicy, nie brak.

STANISŁAW WYSPIAŃSKI.

Baśń o dumie i miłości.

KARTKA Z PODRÓŻY*).

Strassburg, 10 lipca 1890 r.

Do Strassburga droga prowadzi na Chalons, a że trzeba czekać na pociąg, więc można na pół godziny wpaść do miasta i zobaczyć katedrę.

Deszcz leje, ale kto chce co widzieć, nie dba na takie drobnostki, jak kropla deszczu.

Teren pod miastem cokolwiek falujący; rzeka, ogrody, dalekie mosty — stąd malowniczość. Niespodziewanie z wązkiej uliczki wychodzi się przed katedrę — i widzi się ją odrazu z boku; a więc pięknie zeszeregowane kontreforty, fasadę transeptu, front główny renesansowy, bardzo późny i zasło-

*) Jest to wyjątek z listu poety, pisanego do Lucjana Rydla. a ogłoszonego w „Czasie“. — (Przyp. Red.).

nięty domami, zbyt bliskimi. Wnętrze bardzo interesujące i ogólnemi liniami i w szczegółach; kapitele z dużymi liśćmi znowu przypominają Laon, tylko że są późniejsze od tamtych i znowu treścią, rodzajem linji podobne do Marjackich (liść winowy). Wiele nagrobków, rytych na prostych płytach ciosowych.

Tak się to wszystko przebiega szybko, że zaledwie spojrzawszy, ma się czas powiedzieć: to ładne; tu draperja prześliczna, w tej twarzy tyle charakterystyki, te lichtarze doskonale umieszczone na słupach, ten zakątek tak kolorystycznie piękny z tą pleśnią, kurzem, okopceniem od świec wotywnych, romańską bramą.

Cała posadzka kościelna prawie wyłożona płytami, na których ryte postaci rycerzy, mnichów, kobiet. A wszyscy pod małym zawsze baldachem, strojnym różą i frontonem, bardzo rozmaitym zawsze i przypominającym piękne fasady katedr. Rzeczywiście tak wielkiej liczby pomników tego rodzaju trudno jest widzieć zgromadzonych w jednym gmachu.

Gdy wracałem, deszcz trochę ustał. Ciemne chmury uciekały gdzieś za horyzont; słońce malowało podemną prześliczne obrazy nad brzegiem rzeki. Zdawało mi się, że się śmieje ze mnie, że mię to złości, iż nie mam czasu przyjrzeć im się dłużej...

Ale wrażenie zostaje — a w wagonie snują się z niego razem ze wspomnieniem Reims i oczekiwaniem Strassburga, marzenia o tych wielkościach sztuki, o ich piękności. Wierzy się w ich legendarne pochodzenie, jak się odczuwało ich nadludzką wyższość.

To duma i miłość wzniosły te gmachy. — —

Opowiadał mi o tem jeden kwiat — a był taki piękny... Czy też ty wierzysz kwiatom?...

. . . .

Wśród krzewów, w zielonym lasku olszowym, nagle wiatr rozchylił niedyskretnie gałązki — i na łączce ujrzałem igrające urocze wróżki i wiły czarodziejki.

Każdy ich ruch artystycznie piękny, każda postawa i wygięcie pozą, ale okraszoną tak miluchnie i wdzięcznie naturalnością uśmiechów i wesołym szczebiotem, że chciałbyś je mieć, pochwycić... Wyciągasz do nich ręce, przedzierasz się do nich niebaczny przez zastęp krzaków... Cóżbym dał za to, żebym mógł zostać z niemi duchem takim, jak i one...

Spłoszyły się łamaniem gałęzi, chciały uciekać... Przychwyciłem jedną – szamotała się biedna znikały inne w cieniach zieleni. — —

Lecz o dziwo — w moich rękach, miast wróżki, drżał kwiat biały rumianku, o drobniutkich listeczkach, misternych, zielonych, tak cudownych. Roztulając białą koronę na długiej łodyżce, chwiejnej i delikatnej, patrzał ku mnie żałośnie białą buzią, litośnie...

Inne, niespokojne o los ich małej siostry, wracały na łąkę kwiatami, zerkając na łąkę bojaźliwie, co to będzie.

Zrobiła się cisza — żaden listek na drzewach nie drgnął — o życie jednego kwiatka...

Począłem zginać gibką łodygę. Milczące patrzały ku mnie drzewa; każdy liść wydaje mi się twarzą...

Zerwałem kwiat! Czemu był taki piękny — czemu?

Naraz szum złowrogi objął mnie dreszczem. Uciekając z tej łąki, wciąż słyszałem za sobą, jak jęczały żałośnie kwiaty, jak drzewa, kołysząc konarami nad moją głową, powtarzały żałobne ich żale...

Boję się zemsty kwiatów — ten jeden pali mi dłonie...

Przytuliłem go do ust — począł mi szeptać cichutko:

— Tu była dziewczyna, miluchna jak ptaszę, z bosemi nóżkami i płowym włosem, z oczętami błękitnemi, jak niebios jasne lazury, i różowymi paluszkami. Jej białej sukienki czepiały się gałązki jaśminu i otulały ją wieńcem. Do jej piersi zbiegały się pstre motylki, w jej włosy wplatały się stokrotki. Bawiła się na łąkach z konikami polnymi; wieczorami przypinała sobie skrzydełka przejrzyste i prześcigała się z nimi po ścierniach skoszonych łanów; rankami szła pić rosę z kwiecia lip cienistych. Mówiono o niej, że jest czarodziejką. Nazywała się Miłość...

— Tak? — zapytałem.

— A tak — odszepnął kwiat, zmrużając oczka i pochylając główkę — i mówił dalej:

— I była kobieta piękna, jak posąg grecki, cery białej, jak lśniące marmury, z czołem wyniosłem i zmarszczonemi brwiami. Oczy jej czarne, jak węgle, żarzyły się ogniem żądz nieznanych. Strojem jej była purpura; otaczał ją orszak stu rycerzy, zakutych w stal. Łoskot stu mieczów dobywanych rozlegał się na jej skinienie; na jej skinienie szli w bój — i zwyciężali. Składali laury u jej stóp. Jej chód był królewski, majestatyczny; z nad czoła biły blaski djademu z brylantów. Gdy szła, powłóczyły się za nią złotem tkane płaszcze, przygniatając ciężarem drogich kamieni kwiatów delikatne główki. Ona deptała je nogą, obutą w perłami szyte sandały. Nazywała się Duma. Mówiono o niej, że jest potężna.

— Tak? — spytałem.

— A tak — powtórzył kwiatek, tuląc usteczka.

Mówił dalej:

— Na łąki zielone, gdzie igrała Miłość, przyszła raz Duma z orszakiem żelaznym. Pochwycono swawolne dziewczę, stawiono drżące przed majestatem strojnym. Duma mierzyła ją wzrokiem wzgardliwym; ona patrzała niewinna, jak cherubin

Drażniło to piękną; nie wprzód obiecała jej wolność, aż jej zbuduje pałac tak cudny, jakiego jeszcze nikt nie miał.

„Dobrze“ — zaśmiała się dziewczyna — a na dźwięki jej srebrnego głosu przybiegły ptaszęta, trzepocąc barwnemi lotkami. Dawała im znaki rączkami, i one znosiły jej stosy kwiatów. Z tych kwiatów żywych plotła wieńce, festony, pęki i bu-

kiety. Układała je w kolumny, wiązała je w arkady promykami czerwonymi zachodzącego słońca. Czarowną wonią ponętny, gmach wabił ku sobie urokiem.

Weszła doń Duma wspaniała — i usnęła, marząc o swej wielkości... a Miłość wolna uciekła...

Zapadał mrok — i kwiaty zaczęły zwijać kielichy, stulać korony, marszczyć pogodne czółka. Więdły powoli tęsknotą i żalem, i umierały z jękiem. Podcięte gałązki opadały, zostawiając nagie konary. Więdniejące i zbutwiałe liście, pożółkłe, mokre rosą wieczorną, opadały na twarz delikatną śpiącej...

Zerwała się ze snu, zdumiona i przerażona pustką czarną, zniszczeniem, zbutwiałem kwieciem, co walało się u jej stóp. Węże ślizkie szły paść się jego pleśnią...

Noc była. Rycerze zbrojni spali dokoła niej żelaznym murem. Księżyc, ostrym sierpem błyszczący, przeglądał się w ich zbrojach lśniących. Nad moczarami przesuwały się mgliste zasłony. —

Uderzyła w róg! — „Na koń“ !... ścigać swawolną!...

Popędzili przez pola, posłuszni. Długo w noc słychać było tentent coraz to dalszy, dalej i dalej milknący.

— Czy tak? — mój kwiatku ?...

— A tak — opowiadał dalej:

— A był wśród nich chłopiec piękny, jak malują świętego Jerzego. Nazywał się Honor. Ten wyprzedził daleko wszystkich. Białego rumaka puścił wolno. Przyprowadził go on nad strumyk źródlany, gdzie zwykła przychodzić Miłość, przeglądać się w zwierciedle wody i bosemi nogami drażnić mruczącą falę, rozpryskując ją rączką i przekomarzając się ze źródełkiem.

Czekał tam na nią, śpiewając pieśni rycerskie... I przyszło do niego dziewczę, uklękło przed nim...

Był piękny, jak malowanie... Przyrzekł jej miłość wieczną. — Czy dotrzyma?

— Wątpisz kwiatuszku?

— Och — westchnął, oczy mu zaszły łzami... — Nie pytałem go już więcej.

Mówił dalej:

— Zakochani, niebaczni, zapomnieli o pogoni. Tuż, tuż ich ścigała. Zdyszana nadbiegła z łoskotem, otoczyła ich koni tententem, szumem płaszczy rozwianych, chrzęstem mieczów, ostróg, otoczyła ich zwartem kołem...

Ale dziewczę umiało mówić tak szczerze, tak ujmująco, tak łamało rączęta i całowało kochanka tak namiętnie, że stanęli zbrojni jak wryci w ziemię — oczarowani cudem uczucia, miłością tak uroczą. Nie znali jej...

Zaklęła ich słowem miłości, oczarowała, że nieruchomo stali, bezsilni, żelazni, wrośli w ziemię...

Ona siadła na koń z tym pięknym rycerzem — i uciekli bezpiecznie.

Rycerze stali wciąż zwartem kołem, jak posągi. Nadeszła noc i księżyc ubierał ich zbroje w słabe, tajemnicze błyski zielonawe.

I Duma majestatyczna, idąc w ślad z nimi, znalazła ich tak śpiących, na koniach, z dobytemi mieczami...

Weszła w ich koło milczące i uderzyła hasłem w róg...

Milczenie odpowiadało jej echami jękliwymi, odbijało się od ich zbroic stalowych i przerażało ją...

Uderzyła w róg powtórnie — i żaden z nich nie drgnął. Wicher porywał tony puzonu, unosząc je gdzieś na pola. Cisza przerażała ją...

I uderzyła w róg po raz trzeci — i po raz trzeci wróciło do niej echo drżące... Rycerze stali milczący, zaczarowani snem.

Z rozpaczą wzywała każdego po imieniu, wołając: Gdzie Miłość? gdzie Miłość? gdzie Miłość?!...

Na te słowa wstrząsnęły się ich piórami strojne szyszaki, szczęknęły ich miecze, zafalowały ich cienie, zarżały konie, uderzone ostrogą — i już stali kołem. Tak poczęli obiegać kołem coraz szybciej, pędem, i coraz szerszym zabiegając łukiem. Pędzili „z wichrami w przegony“. Rozwiewały się im płaszcze, jak sztandary, tententem jęczała pod nimi ziemia.. Napróżno przywoływała ich ku sobie. Nie rozumieli jej. Oszaleli!... Obiegali coraz dalszem kołem, jak opętańce, jak widma migały ich dalekie cienie, ścigające się wzajem...

Pozbawiona swego orszaku, szła Duma dalej, w pogoni sama za Miłością — a oni wciąż pędzili coraz szybciej, kołem zaczarowanem...

Dotąd jeszcze podobno o zmroku, pasterze, zapóźniający się z powrotem, widzą ich uganiających się z wichrami. Co rano zdziwieni rolnicy znajdowali pole stratowane od kopyt końskich. I nie zwożono do stodół żadnego zboża z tego pola. Mówiono, że to pole opętańców.

— Boję się — szepnąłem.

— Drżę — westchnął kwiatek. — Mówić dalej?

— Mów... — I zaczął opowiadać:

— Duma, rozogniona namiętnością, szła dalej w pogoni za zbiegami. Czuła się dotknięta, bo w orszaku zmartwiałych rycerzy nie było owego młodzieńca pięknego. Nie dostrzegła go... To pewno Miłość go uprowadziła jej — a on nosił jej barwy, walczył w jej szeregach pod jej znakiem, był jej rycerzem...

Ona kochała go, ale za pyszną była, aby się przyznać do miłości...

I szła ze złowrogim blaskiem w oczach, zemstą wrzała jej pierś chciała go widzieć we krwi, okrutna... oh...

Stanęła przed chatą, gdzie było mieszkanie kochanków. Z dachów słomianych zwieszały się warkocze powojów i bluszczów wieńce długie. Malwy wysoko wspinały się ciekawe, zaglądając przez okienko do wnętrza. Ważki figlarne, trzepocząc modremi skrzydełkami, zasłaniały im widok. Słoneczniki kiwały poważnie ociężałemi głowami, muszki złote brzęczały chórem nad ich koronami.

I spostrzegła Duma przed chatą porzuconą zbroję, hełm pyszny niegdyś, gdzie jaskółki usłały

sobie gniazdo, pancerz rdzewiejący, wryty w ziemię głęboko, jak ostrze pługa — ostry miecz...

Wzięła ten miecz, wbiła w ziemię ostrzem zabójczem do góry — i czekała dumna przed progiem, z ponurą twarzą i z myślą, krwi łaknącą... Chata była pusta.

Kochankowie wracali z pola, szli spokojni, szczęśliwi, zapatrzeni w siebie, marzący.

Przed chatą ich stała posępna, jak posąg, Duma. Poznał ją młodzian, wyrwał się z objęć dziewczyny, biegł ku temu posągowi, przed nią wbity w ziemię dwusieczny miecz świecił strasznie ostrzem błyszczącem...

Zrozumiał: — przeznaczała mu śmierć. Honor mu kazał umierać za zapomniane barwy pięknej, za zdradę... A on się nazywał honor... oh...

. . . .

Kwiat zalewał się łzami. Przez łzy dopowiadał mi, jak rycerz rzucił się na miecz i zginął, jak Miłość jęczała żalem nad umierającym, jak obie potem stawiły na jego cześć gmach olbrzymi, cudowny — jak Duma pyszna chciała go mieć olbrzymim i wielkim, potężnym, jak Miłość ubierała go barwami i kwieciem. — —

Kwiat tak szlochał, że od jego łez oczy zachodziły mi łzami...

Dałem go pierwszej dziewczynie, którą spotkałem. Nie chciałem go mieć dłużej — ona taka była ładniutka z tym swoim uśmiechem...

. . . .

Papiery Walerjana Kalinki.

Jeżeliby można poszczególnym okresom historjografji naszej nadawać patronów, czy duchy opiekuńcze, toby snadno nazwać należało okres dzisiejszy okresem Walerjana Kalinki. Profesorowie Korzon, Askenazy, Dembiński i cała plejada nowszych historyków, cała najmłodsza szkoła historyczna idzie śladami autora „Sejmu czteroletniego" i podobnie, jak on pierwszy, tak oni obecnie ostatnie lata samoistnej Polski i pierwsze czasy jej niewolniczego bytu, przedmiotem swych badań uczynili i opracowań.

I chociaż zasługa niespożytej pracy, bystrości myśli i badań Walerjana Kalinki na długo jeszcze pozostanie podstawą nowszych badań, to osoba historyka, który z za furty lwowskich Zmartwychwstańców rzucał w świat głębokie swe dzieła, w cień coraz większy zapada. Lwów pamięta pogrzeb wielkiego historyka, zmarłego w zakonnem ubóstwie, pamięta trumnę, dostarczoną przez zakład Józefa z Arymatei, którą na barkach swych nieśli w r. 1886 najwybitniejsi historycy, przed którą kłoniły się berła uniwersyteckie — ale samej już osoby nie pomni.

Dzisiaj za to pielgrzymują uczeni do lwowskich Zmartwychwstańców w poszukiwaniu spuścizny historyka i w nadziei, że w papierach po nim pozostałych, znajdzie się wiele rzeczy ciekawych i uwagi godnych. Przychodzą, tak jak prof. Dembiński i znajdują jeszcze pokłosie bardzo obfite.

Tylko, że dzisiejsi Zmartwychwstańcy, jakkolwiek żywą jest u nich tradycja O. Walerjana Kalinki — to ludzie młodzi i od kierunku studjów jego dość odlegli. Wśród nich i w całem zgromadzeniu zakonnem niewiele już takich patrjarchalnych postaci jak ks. Bakanowski, którego życie przechodziło na wielkich przestrzeniach całego świata, między Żytomierzem, Petersburgiem, Londynem, Paryżem a Chicago, który walczył z Moskalami w styczniowem powstaniu i z Indjanami, gdzieś w odległych prerjach amerykańskich, przeżył zamach rewolwerowy przy ołtarzu w jednym z kościołów londyńskich, a wszędzie kędykolwiek był tylko, to kazał wymownymi usty o tem, co było treścią żywota jego i pozostało do dni dzisiejszych — katolicyzm najtwardszy i najmniej ustępliwy.

A reszta Zmartwychwstańców dzisiejszych, to sprężysty i energiczny rektor ks. Adolf Netczuk z rodziny unickiej w Chełmszczyźnie i do tej swojej ukochanej ziemi, gdzieś w okolicach Siedlec wiecznie tęskniący — a w strofach Petrarki rozkochany, to dalej ks. Olejniczak, umysł bardzo giętki i filozoficznie wykształcony i inni.

Pomiędzy nimi wszystkimi przechowuje się spuścizna po ks. Kalince. Biblioteka historyka wcielona została do ogólnej biblioteki zakonnej, z której korzysta tak młodzież internatu Zmartwychwstańców, jak i kler zakonny. Biblioteka o przeszło 3000 tomów porządnie i pracowicie utrzymywana i ciągle kompletowana, ale w niej zaraz na pierwszy rzut oka poznać książki pozostałe po ks. Walerjanie Kalince. Oprawy jednostajne, a prawdziwie amatorskie — znać po nich człowieka, który kochał książkę i umiał ją uszanować jako druha w ciszy klasztornej, jako pomocniczy środek do badań i który w książce widział to, co w niej widzi prawdziwy bibliofil: nieledwie, że drogą osobę, której przeszłość nie obojętna — przyszłość zawsze pełna troski i niepokoju.

Również i dobór książek charakteryzuje dokładnie zbieracza, oraz kierunek jego studjów. Dobre podręczniki i podstawowe dzieła z epoki trzech rozbiorów, wśród nich niemieckie takie, jak Arnetha lub Kronesa, dalej historja polityczna i historja kultury. Ciekawym jest także zbiór opisów podróży po Polsce z końca XVIII w. Każda książka opatrzona w monogram właściciela.

Oprócz tego w starszej części zabudowań klasztornych, tam gdzie na korytarzu wisi bardzo ciekawy pod względem historycznym portret Józafata Kuncewicza pomieszczono w jednej celi teologiczną część biblioteki oraz rękopiśmienną spuściznę po Walerjanie Kalince. Są to przeważnie notaty i wypisy z najrozmaitszych archiwów, a odnoszące się do ostatnich lat dziejów państwa polskiego. Jest tych notat kilka dużych tek i kilka niemałych pudeł. Ich zawartością interesuje się żywo prof. dr. Bronisław Dembiński.

A zainteresować się nimi bezpośrednio powinien także i Zakon Zmartwychwstańców. Uporządkowana bowiem spuścizna, po tej miary uczonym co Kalinka ozdobą być może każdego zbioru, pamiątką drogą po człowieku niezwykłym, a dla samych Zmartwychwstańców legitymację stanowić może w przyszłości, jako ich pokolenia przeszłe, nie napróżno żyły na świecie, a od społeczeństwa nie odosobnione, brały udział w myśli jego i pracy.

Zapomniany poeta.

Odgrzebany w całem słowa tego znaczeniu, mimo, że dotąd zalicza się do ludzi żyjących. W ośmdziesiątą piątą rocznicę urodzin przypomniał go teraźniejszości p. Jan Lorentowicz, a ze słów jego dowiedziała się dzisiejsza publiczność, że Felicjan Faleński żyje jeszcze, a jego dorobek literacki wcale nie zasługuje na to, ażeby poszedł w zapomnienie.

Dla jednych, młodszych zwłaszcza, pisze p. Lorentowicz, *Felicjan* jest mglistym mytem, przekazanym pamięci przez rozsiewaną krytykę i roztargnionych historyków piśmiennictwa; dla drugich, starszych, był on zawsze i pozostał dotąd przedmiotem tej dyskretnej chwalby, która nie obowiązuje ani do panegirycznych „jubileuszów“, ani nawet do czytania utworów chwalonego poety.

A przecież, gdyby Felicjan żył i pisał we Francyi, Niemczech lub Anglii, otwierałyby się przed nim wrota akademii literackich; jego imię poetyckie rozbrzmiewałoby sławą wyraźną i pewną; dostojność i prawość jego postawy artystycznej budziłaby powszechne uwielbienie.

Dla czegóż u nas padł ofiarą *martwej tradycji*, tego najstraszniejszego grobu dla twórcy? Odpowiedź jest łatwa: społeczeństwo potrzebowało pieśni bojowych, a on zwrócił się ku niemu z ponętami najwytworniejszego *kunsztu* poetyckiego; żądano pobudki do czynu, a on przyszedł z tęskną lirą, z wytężoną troską o czystość i mistrzostwo dźwięku, z nienasyconą żądzą piękna, szukanego po wszystkich literaturach świata.

Począwszy od pierwszego zbiorku poezji: „Kwiaty i kolce“ wydanego w r. 1855, niezrozumiany, niedoceniony przez krytykę literacką, szedł Felicjan Faleński samotnie. Dzieła takie jak „Z po za mogił“, „Meandry“ i cały szereg utworów dramatycznych wydał własnym nakładem, a jedynie tylko przekłady obcych poetów i klasyczne studja literackie nad poetami polskimi z XVI. wieku, wyrobiły mu pewnego rodzaju popularność.

Bez głębszego echa przeszły też wydane w r. 1871 „Odgłosy z gór“, to jest jedne z pierwszych naszych pieśni tatrzańskich. Nie pomogła im szlachetnie pedantyczna ocena Tyszyńskiego, który oznajmił, iż „od początku do końca zbiorku, nie spotka tu nas nigdzie ani myśl trywialna, ani tok trywialny. I owszem, rzec można, że te odgłosy z gór jest to muzyka z gór, taka tu rozmaitość nuty i bogactwo harmonii w rytmach fantazji“. Ani Tyszyński, ani inni współcześni nie odczuli przecież piękna poematów Felicjana. Dopiero, gdy je dziś porównamy z całą późniejszą naszą twórczością opisowo-liryczną na tle Tatr, od Asnyka aż do Tetmajera i najmłodszych, szlachetność tronu, siła wyrazu i czystości wizji Felicjana w całym ukazują się blasku, niezaćmione przez najpiękniejsze sonety tatrzańskie.

Przypomnienie p. Lorentowicza podziałało jak wyrzut sumienia. Posypały się w prasie codzienej i w tygodnikach literackie sylwetki Felicjana Faleńskiego, cytaty jego dzieł, a z nimi razem pięknie na jednem miejscu wyrażone przekonanie, że niebezpieczeństwo zapomnienia już Faleńskiemu nie grozi. Na pogodny bowiem zachód jego twórczości pada ciepły promień wdzięcznej czci ze strony pokolenia, które nie jest już wprawdzie jego pokoleniem; ale umiało dostrzedz na dumnym płaszczu poety „greckiej szaty bramowanie“ i poznało po tem bramowaniu kapłana helleńskiego piękna w sztuce, której chce służyć dalej z tem samem, co on, oddaniem, z tą samą wiarą

»*że zdrowych form prostota,*
to owa mara złota,
którą w swej dłoni genjusz pięknie trzyma...«

JÓZEF BIAŁYNIA CHOŁODECKI.

Alfred Brzeziński.

Przyczynek do dziejów obrony Zamościa r. 1831.

(Z aktów procesu karnego przeciw pułkownikowi Józefowi Zaliwskiemu i wspólnikom).

W jednym z nielicznych opisów bohaterskiej obrony Zamościa w r. 1831, a zwłaszcza w pracy Michała Rollego: „Z minionych stuleci“; szkice historyczne i literackie (Lwów 1908) — znajdujemy wzmiankę o dzielnym podoficerze Brzezińskim z drugiego pułku strzelców pieszych, który wspólnie z oficerem drugiego pułku ułanów Ludwikiem Kuczyńskim, oddawał oblężonym doniosłe, a nader dla obu niebezpieczne usługi, przekradając się przez oblężniczą armię Rotha i Kajzarowa i utrzymując w ten sposób komunikację między Zamościem a Warszawą.

Kim był właściwie ów podoficer Brzeziński?

Na to pytanie znalazłem przypadkowo odpowiedź, pracując nad opisem partyzantki i procesu pułkownika Józefa Zaliwskiego. Przeglądając stosy sądowych fascykułów natrafiłem mianowicie na szkic autobiograficzny Alfreda Brzezińskiego nakreślony w czasie tegoż pobytu we Lwowie 24. sierpnia 1833 i rozdzielony między znajomych i kolegów broni. Jeden egzemplarz przechował u siebie pułkownik wojsk polskich Jan Ludwik Strzelbicki zamieszkały przy ulicy Sykstuskiej „w domu Boznańskiego“. W dniu 12. maja 1834 przeprowadził na skutek procesu Zaliwskiego ośmiogodzinną rewizję u Strzelbickiego kancelista sądu kryminalnego Ludwik Latzko, wspólnie z komisarzem policji Karolem Wohlparthem, okręgowymi inspektorami Janem Charaszkiewiczem i Franciszkiem Unterbergiem przy pomocy licznej straży policyjnej i skonfiskował jako *corpus delicti* powyższy życiorys, wcielony następnie do aktów sądowych. Życiorys ten stanowi pożądany przyczynek do mało znanych ogółowi dziejów obrony Zamościa, daje zarazem obraz cierpień i katuszy, jakie przechodziły po upadku listopadowego powstania rozbitki armji polskiej.

Alfred Brzeziński nie codzienna to postać żołnierza.

Wykołysany w zaraniu życia pieśnią Kozaczyzny, przebiegał on podrostkiem stepy Ukrainy, ścigał wśród burzanów szaraki chartami. W siedmnastym już roku życia podążył do Warszawy, wdziewa na się barwny mundur polskiego żołnierza i wchodzi pod rygor surowej, bezwzględnej dyscypliny Wielkiego Księcia Konstantego. Umysł niestały, lekkomyślny, natura przekorna, pieniacka, zacięta, odbija się atoli już rychło fatalnie na karjerze marzącego o szlifach oficerskich, a może i jeneralskich młodzieńca. Znachodzi się w kazamatach fortecy, na długie skazany więzienie. I byłby może zakończył w lochach tych doczesną pielgrzymkę, gdyby nie wybuch listopadowego powstania, który przynósł mu niespodziewaną wolność. I oto teraz wlewa on całą energję, całą duszę swą w służbę polskiego żołnierza, pragnąc męstwem i bezwzględnem poświęceniem zmazać ciężące na nim piętno, zasłużyć na wywyższenie. I rzeczywiście migoce w dali jaśniejsza dla niego gwiazdka szczęścia. Zyskuje uznanie dzielnych zasług, zyskuje mir, zdobywa odznakę waleczności. Inaczej atoli zapisanem snać było w księdze jego przeznaczenia. Powstanie upada, Brzeziński dostaje się do niewoli, pędzony napowrót jako skazaniec do fortecznego podziemia. Ucieka z drogi, przemyka się do Galicji a stąd do Odessy z zamiarem wyemigrowania do Anglji. Zrazu wiedzie się mu pomyślnie, niebawem piętrzą się atoli trudności, i zniewalają go do powrotu w granice Galicji. Pragnie ostatecznie na stałe tutaj osiąść, pragnie gospodarować spokojnie na roli; nie jemu jednak spokojne a ciche życie. Rozkaz rządu austrjackiego osadza go w murach więzienia, a ostatecznie wydaje na niechybne męki rosyjskim siepakom.

Jakżeż zmienne były, jak pełne głogów i cierni koleje jego życia!

Lecz pozwólmy zabrać głos samemu Brzezińskiemu:

„W r. 1818 — mówi on w swej autobiografji — a w siedmnastym wieku mego, przybyłem do Warszawy z miejsca mego urodzenia, gubernji Kijowskiej i zaraz zaciągnąłem się do wojska polskiego, pułku 2-go strzelców konnych. Służba i starania moje wkrótce wyniosły mnie na stopień podoficera, a postępowanie moje zyskało zaufanie przełożonych. Dowódca pułku Skarzyński Kazimierz [1]) włożył na mnie obowiązek trudnienia się administracją pułkową. Był to obowiązek kwatermistrza, wszelako żądaniu dowódcy trzeba było uczynić zadość, ile możebnem dla człowieka młodego i bez doświadczenia. W chwili trudnienia się administracją, częścią przez niedoświadczenie, częścią przez różne nieprzewidziane wypadki, wpadłem w deces, chociaż nieprawny, ponieważ dowódca pułku wymagał odemnie nadmiarów na produktach; jednak takowy zaspokoiłem. Chcąc się usprawiedliwić z zarzutów marnotrawstwa żaliłem się na dowódcę pułku, podczas lustracji przed ge-

---

[1]) Kazimierz Skarzyński służył w r. 1809 w armji Księstwa Warszawskiego jako podpułkownik, odbywa kampanję moskiewską w r. 1812, był pod Lipskiem ranny dwukrotnie w głowę, a z chwilą wybuchu rewolucji zajmował stopień pułkownika. Mianowany jenerałem brygady, dowodził dywizją jazdy i brał udział we wszystkich bitwach tejże dywizji. Kawaler krzyża polskiego i legji honorowej, tudzież orderu św. Włodzimierza IV. klasy.

nerałem dywizji Klickim [2]), prosiłem o sąd wojenny. Postępek ten uznano za rodzaj niesubordynacji; zostałem zdegradowany. Wkrótce postąpiłem na dawny stopień. W r. 1828 zostałem obrażony na honorze przez podporuczników tegoż pułku Borejkę [3]) i Czarnowskiego Romana [4]) i chociaż Borejko zreflektowawszy się odwołał to, co był powiedział przed mymi przełożonymi i kolegami, lecz niestety za późno, zapalony zemstą wytoczyłem przeciw nim sprawę. Przeciwnicy mając więcej wpływu uniewinnili się, a ja oddany pod sąd wojenny, znękany więzieniem, zachorowałem. Przyszedłszy do zdrowia odwołałem moje wyznanie faktum, jako nigdy nie było prawdziwe, wszelako skazany zostałem na lat 12 ciężkiego więzienia w twierdzy Zamościu. Cierpiałem, a jednak cierpienia moje, chociaż w dwudziestoczterofuntowych kajdanach nie były tak dolegające, jak teraźniejsze. Dzień święty 29. listopada uwalnia mnie. Przybywa generał Sierawski [5]) do Zamościa, znając mnie osobiście wraz z całą treścią mej sprawy, zdejmuje okropne kajdany, a ja zaręczam bronić naszej sprawy do ostatniego tchu życia. Przeznaczony do pułku drugiego strzelców pieszych pod komendą majora Bulewskiego [6]) staję z chlubą w szeregach wojska, walczę w pierwszej wyprawie do Uściługa, postępuję na stopień feldwebla, a w drugiej wyprawie pod Nowem miastem przedstawiony zostałem na stopień oficera. Nadciąga waleczny korpus generała Dwernickiego pod Zamość, z którym przybywa Czarnowski Roman jako kapitan. Postrzegłszy mnie w szeregach wojska wnosi skargę przed sąd wojenny załogi twierdzy Zamościa, odnawia dawną sprawę i mnie na nowo potępia. Po rozstrzygnieniu rzeczy, zasługi moje biorą pierwszeństwo, skarga Czarnowskiego odrzucona, jednakże jenerał Krysiński [7]) natenczas na nowo przybyły na gubernatora twierdzy do dalszych zasług zatrzymuje mi awans. Oficerowie nie tylko mego pułku, ale i innych podają notę do jenerała, życząc sobie mieć mnie w gronie swojem, w czem odwołują się do aktualnych oficerów załogi Zamościa. Nie zważając na zatrzymany mi stopień, bo nikt go przedemną nie osiągnął, prócz Bieńkiewicza Tytusa, który był starszy w służbie, pełniłem obowiązki moje z gorliwością, jak przystoi na dobrego Polaka. Gdy twierdza Zamość była w mocnem oblężeniu, a komunikacje wszelkie z naszą armią działającą były przecięte, a w wzięcie Warszawy i Modlina nikt nie chciał w twierdzy wierzyć i wszyscy dali słowo honoru majorowi Bulewskiemu, komendantowi piechoty całej załogi, wytrwać w męstwie do końca, dla dokładniejszego w tym względzie przekonania się wysyła załoga trzech oficerów do Warszawy, majora Burakowskiego [8]) i dwóch kapitanów: sławnego Malczewskiego [9]) z saperów i Wereszczyńskiego [10]), dowódcę legji litewsko-rusko-podolskiej za wiedzą jenerała rosyjskiego korpusu, oblęgającego Zamość.

---

[2]) Stanisław Klicki przesłużył młodzieńcze lata w szeregach Kościuszki, później w szeregach cesarza Napoleona w Hiszpanji (r. 1808) i w wyprawie na Moskwę (r. 1812). Rok 1830 zastał go na stanowisku jenerała dywizji w schorzałej starości i z tych przyczyn nie mógł brać wybitniejszego udziału w przedsięwzięciach współbraci. — Zmarł w Rzymie w r. 1847 jako baron państwa francuskiego, kawaler krzyża polskiego i legji honorowej, tudzież żelaznej korony.

[3]) Borejko, imię w życiorysie brakuje. Możebnem, że był to Józef Borejko, który jako żołnierz 6. pułku jazdy wojsk polskich Księstwa Warszawskiego, został ozdobiony srebrnym krzyżem.

[4]) Roman Czarnowski był przybocznym adjutantem dowódcy Józefa Dwernickiego. Jako kapitan został ozdobiony 7. marca 1831 złotym krzyżem. Po upadku powstania emigrował do Paryża — tamże wszedł w szeregi konspiratorów, a gdy pułkownik Józef Zaliwski, major Kasper Dziewicki i porucznicy Leopold Białkowski i Feliks Łubieński wkroczyli do Kongresówki, przyjechał z Ludwikiem Tarszeńskim i Apolinarym Nyką do Lwowa i złączył się z kolegą Karolem Borkowskim. Tarszeńskiego i Nykę podejrzywano, iż byl wysłani z partji przeciwnej wyprawie, aby ją unicestwić.

[5]) Juljan Sierawski rozpoczął służbę żołnierską w legjonach, a awansując szybko, dowodził w armji Księstwa Warszawskiego 6. pułkiem piechoty. W r. 1813 awansował na stopień jenerała brygady, a w r. 1831 jako jenerał dywizji dowodził oddzielnym korpusem. Osobiście waleczny, stał zawsze podczas bitew na najniebezpieczniejszych posterunkach. Pod Wronowem wdał się mimo słabych sił w bitwę i uległ przemocy. Był kawalerem krzyża polskiego i legji honorowej.

[6]) Dominik Bulewski, major 2. pułku strzelców pieszych, dowodził wyprawą do Uściługa i Zamościa. W dniu 12. marca 1831 r. został ozdobionym złotym krzyżem. Po upadku powstania popadł w ciągu dalszych prac spiskowych w podejrzenie dwulicowości, a przeciwnicy jego wytoczyli przed forum ziomków szereg nader ciężkich zarzutów. Pułkownik Zaliwski poczynił w czasie przesłuchania w więzieniu lwowskiem, liczne zeznania, hańbiące Bulewskiego. Twierdził on, iż Bulewski ongi, jako kapitan 5. pułku piechoty, sprzeniewierzył pieniądze rządowe i prywatne pułkownika, że jednak W. Ks. Konstanty ochronił go od skutków, co więcej, awansował na majora, gdyż miał w nim usłużnego szpiega. Gdy piątego dnia po wybuchu powstania w r. 1830. zdobyto kancelarje naczelników szpiegów, a to jenerałów Rożnieckiego, Skrybickiego i wiceprezydenta miasta Lubowidzkiego, przeglądał Zaliwski z Niemcewiczem i kasztelanem Kochanowskim, papiery i listy szpiegów. Bulewski należał do najważniejszej kancelarji szpiegostwa, do biura Morenheima. Uwiadomiono o odkryciach wszystkie komendy i władze cywilne, o Bulewskim komendanta twierdzy Zamościa; to też Bulewski w powstaniu nie awansował. Po upadku Zamościa podróżował bez trudności między Galicją a Rosją, później był wysłannikiem między Galicją a Paryżem, w końcu żądał znacznego odszkodowania, grożąc wydaniem nazwisk skompromitowanych obywateli pod zaborem rosyjskim. Ostatecznie zamieszkał na emigracji, gdzie zakończył życie przez jednych potępiany, przez innych brany w obronę. Przed ćwierć wiekiem występowały córki Bulewskiego, Wanda i Jadwiga jako koncertantki na fortepianie i skrzypcach na estradach większych miast Europy, między innemi we Lwowie i Czerniowcach.

[7]) Jan Krysiński, uczeń szkoły kadetów za króla Stanisława Augusta, był później oficerem artylerji we włoskich legjonach i sztabsoficerem armji Księstwa Warszawskiego. Kampanję w r. 1809 odbył jako podpułkownik; w r. 1831 zaś był jenerałem brygady, gubernatorem Zamościa. Kawaler krzyża polskiego i orderu św. Anny II. kl.

[8]) Borakowski Fabjan, major 6. pułku piechoty linjowej.

[9]) Franciszek Malczewski, kapitan saperów, został po upadku twierdzy Zamościa wywieziony przez Moskali razem z Krysińskim pod silną eskortą do Warszawy.

Kuczyński [11]) porucznik wysłany był sekretnie do rządu narodowego a mnie z rady wojennej polecono misję do komitetu galicyjskiego dla zasięgnięcia rady w ważnych okolicznościach, gdyż sądziliśmy, że komitet choć w części jakowej komunikuje się z gabinetem dworu. Nie opisuję, z jaką chlubą przyjąłem powierzone mi zlecenie dla udowodnienia moim kolegom zaszczytnego dla mnie ich towarzystwa i dla przekonania komendanta, iż pomimo walczenia w szeregach osobiste dam dowody patrjotyzmu, celem wywdzięczenia się za darowaną mi wolność. W przechodzie przez obóz rosyjski nie doświadczałem ani trudności, ani widziałem przed memi oczyma śmierć, na którą traf nieszczęśliwy mógł mnie wystawić, a przebywszy wszystkie straże obozowe w różnych ubiorach i granice Austrji, przybyłem do Lwowa mile przyjęty od obywateli galicyjskich, składających Komitet. Stanąłem kwaterą u JW. hr. Ksawerego Krasickiego, a że rana, którą odniosłem w odparciu szturmem Zamościa, odnowiła mi się przez podróż, opatrzony przez tutejszego doktora, musiałem dni kilka wypocząć. Byłem przytomny radzie komitetu, która składała się z książąt, hrabiów i szlachty; poznałem niestety, że prócz naradzania się sami między sobą, żadnych rad pomyślnych dla cierpiącej załogi udzielić nie są w stanie. Jednak wykonując moją powinność, z wiadomościami, jakie miałem powierzone od osób komitetowych, odebrawszy na pamiątkę poświęcenia się pierścień złoty, udałem się napowrót do twierdzy Zamościa. Chociaż biegały wieści, iż twierdza poddaje się, jednak ja nie uważając na takowe, śpieszyłem. Jeżeli nie mogłem przynieść onym pociechy, chciałem przekonać ich o mojej posłudze i dzielić los razem z mymi towarzyszami broni. Przybywszy do Zamościa zastałem już układy z jenerałem Kajzarów. Nie mogę nigdy zapomnieć w jakiem położeniu rozpaczliwem zastałem majora Bulewskiego, komendanta piechoty, któremu załoga twierdzy Zamościa winna wszystkie odniesione trofea i wytrwałość do końca. Odebrawszy podziękowanie moich przełożonych i kolegów z przyznaniem mi krzyża złotego [12]) oczekiwałem amnestji, która była przyznana dla całej załogi twierdzy przez jenerała Kajzarowa. Początki rozpuszczenia wojska były dosyć obiecujące. Żołnierze będący z Królestwa polskiego bez wyjątku byli wypuszczeni, a każdy oficer dawszy za siebie rewers spokojnego życia, gdzie wskazał zamieszkanie, odebrał paszport. Niespostrzegliśmy się, dlaczego wszystkich, rodem z prowincyj rosyjskich zatrzymano, oznajmiając, iż na końcu razem z legią podolską dostaniemy paszporta. Gdy już bataliony wszystkich pułków oddaliły się w miejsce swego urodzenia, a legia przystąpiła po paszporta, natenczas wszystkim oficerom z prowincyj zabranych kazano się stawić. Po odczytaniu listy imiennej jenerał Szulmow... gubernator twierdzy przeprosił nas, że z rozkazu księcia warszawskiego Paszkiewicza musi nas pod zasłoną wojskową odesłać do Włodzimierza, a tam dopiero otrzymamy paszporta. Udaliśmy się za Zamość na miejsce byłego stanowiska obozu rosyjskiego i tam przepędziliśmy dni dwa. Na trzeci dzień zapowiedziany mieliśmy marsz. Przybywa major rosyjski, odbiera komendę od kapitana kozaków, wymaga od nas słowo honoru, że nikt nie będzie uciekał, na co ja żadną miarą w duszy nie mogłem się zdecydować. W kilka godzin przychodzi rozkaz z twierdzy dostawienia mnie przed gubernatora. Stawiony przed nim otrzymałem odpowiedź, że zmuszony jest odesłać mnie do Warszawy dla spełnienia dawnego wyroku, przez księcia Konstantego wydanego. W podróży będąc strzeżony od kozaków nie miałem zręczności na ratowanie się ucieczką. Za przybyciem do Warszawy zostałem uwięziony w placu z osobami, których największa liczba liczyła się ze szkoły podchorążych pieszych, kilku posłów i pułkownika Malczewskiego. Co dzień nas ubywało i przybywało. Po wysiedzeniu dwumiesięcznem w placu, tak, jak wszystkich nocą wywieziono, tak i po mnie zajechał żandarm kibitką. Na pierwszej stacji w mieście Piasecznej postrzegłem, że mnie wiozą do Zamościa. Nie chciałem już zgłębiać rzeczy. Wziąwszy żandarma różnemi sposobami za pomocą dobrej Polki i obywatelki w Puławach, odzyskałem wolność. Przybywszy do Galicji, zastałem majora Bulewskiego, który z niemałem podziwieniem mnie przywitał, mając o mnie różne już wieści. W dni kilka przybyłem z majorem do Lwowa a znany komitetowi z najlepszej strony otrzymałem wsparcie. W chwili oddalenia się majora do Francji, ja także za paszportem, na imię obywatela galicyjskiego wydanym do Odessy udałem się, w celu dostania się okrętem do Anglji, albowiem przeczuwałem, że Czarnowski będzie mnie ścigał i we Francji. Przeprawiwszy się na Podole za protekcją obywateli stanąłem w Odessie. Mołodecki były kapitan gwardji Napoleona a teraz mający handel w Odessie wstawił się za mną do konsula angielskiego, za którego staraniem miałem przygotowany okręt kupiecki, oraz z kapitanem okrętu mieszkanie, wszelkie wygody w podróży, jakoteż listy rekomendacyjne do Marsylji i Londynu. Forszus na drogę miała mi dostarczyć kasa, zostająca teraz w ręku Smokrowicza i Migurskiego [13]), która jak mówią uwięziona została w rejteradzie z pod Daszowa. Pomimo to

---

[10]) Aleksander Wereszczyński ukończył Liceum Krzemienieckie i był komisantem ks. Henryka Lubomirskiego w Odessie. Przed bitwą grochowską przybył do Warszawy został adjutantem naczelnego jenerała ks. Radziwiłła; pod Grochowem ranny w nogę ułamkiem granatn. Wyleczywszy się, zorganizował własnym sumptem dwa szwadrony legji litewsko-ruskiej jazdy wołyńskiej; następnie trzeci oddział w Czabarówce. Jako major legji podolsko-litewsko-ruskiej walczył w obronie Zamościa. Po upadku twierdzy emigrował w granice Galicji.

[11]) Ludwik Kuczyński, porucznik 2. pułku ułanów.

[12]) Brzeziński został poprzednio widocznie mianowany oficerem, o czem nie wspomina wyraźnie w autobiografji.

[13]) Prawdopodobnie Walenty Migurski porucznik 2. kompanji strzelców kaliskich, ozdobiony 26. lipca złotym krzyżem.

zrobili składkę obywatele, będący w tę porę w Odessie w interesach handlowych, a że najważniejszą rzeczą było u konsula austrjackiego uzyskać mi przedłużenie paszportu jako Galicjaninowi, o co się starano najmocniej, lecz prócz obietnic nie można było otrzymać skutku. Jak to u nas, tak i wszędzie każdy przedmiot rzadko jest sekretem, a konsul austrjacki odwlekał. Ostrzeżono mnie nareszcie ażebym unikał sideł, przez które mogłem i tam paść ofiarą i więcej osób skompromitować. Wyjechałem nakoniec z Odessy. Nie było innego ratunku, prócz wracania napowrót do Galicji. Zniknienie moje raptowne z tego kraju, nie zwierzając nikomu moich zamiarów, wprowadziło wszystkich niemal w zadziwienie. Zapytany od kilku osób za powrotem z Rosji nie taiłem mej podróży; zwłaszcza, że były tego ślady, gdyż doręczyłem kilka listów, które poszły do Francji, osobom dobrze mi znanym. Wszelako powrót mój z Rosji zmienił zupełnie plan moich okoliczności. Ci, na których dużo polegałem, z którymi żyłem w dobrej znajomości, zaczęli być obojętnymi [14]), a mianowicie, przybycie Czarnowskiego Romana z Francji do Lwowa utwierdziło zdanie ludzi, dających się ślepo powodować. Zaczął mnie prześladować w podobnym guście, jak w twierdzy Zamościu, utworzył na mnie sąd pokątny, który do tego momentu mnie prześladuje. Unikając nieszczęścia udałem się pod protekcję JW. hrabiny Małachowskiej. Za wstawieniem się jej łaskawem do rządu tutejszego, otrzymałem pozwolenie tymczasowego zamieszkania. Aby uniknąć zgiełku mnie napastującego, mając mały fundusz, za protekcją przyjaciół wziąłem posesję, gdyż zatrudnienia nawet rząd wymagał. Zatrudnienie robiło mnie spokojnym, a starania w spekulacji pomnażały mój dochód. Najprzyjemniej mi było dawać nieraz schronienie pod moją strzechą nieszczęśliwym tułaczom i wsparcie w miarę możności. Mile pędziłem czas długi z kilkoma mymi kolegami broni, a co większa i towarzyszami wspólnego więzienia ostatnią razą w Warszawie. Nagła zmiana rządu nakazała mi opuszczać moje spokojne ustronie. Przymuszony byłem sprzedać moje gospodarstwo memu koledze, tutejszemu Galicjaninowi. Zostając w położeniu jak najokropniejszem, gdyż nie będąc pewnym otrzymania bezwarunkowej amnestji, również nie mogę się determinować jechać do Paryża z przyczyn wyżej nadmienionych, któreby mnie w ciągłej niespokojności zostawiały. Dla tego proszę tutejszego rządu jak tyle innych, iżby mi z szczupłego funduszu, jaki mi pozostał z sprzedaży gospodarstwa, bawić tutaj czas niejaki, we Lwowie dozwolił. Jakoż rząd tutejszy przekonawszy się o mojem ciągłem spokojnem zachowaniu się i pracy około gospodarstwa, zdaje się, iż się przychylił do mojej prośby, kiedy mi dotąd spokojnie bawić dozwala.

Ten jest krótki rys życia mojego wojskowego i teraźniejszego. Za wszystkie moje poświęcenia się, niczego nie pragnę jak tylko zasługiwać się na szacunek moich rodaków. Ci, którzy moimi sędziami być zechcą, zważą wszystko bez namiętności, uprzedzenia, a natenczas spodziewam się, że bezstronny wypadnie na mnie wyrok".

U dołu powyższej autobiografji Brzezińskiego widnieje wymazana notatka pułkownika Strzelbickiego: „Brzeziński został przez rząd odesłany do Rosji".

Łatwo odgadnąć dalszą jego dolę...

[14]) Czy nie była ta obojętność wynikiem nieufności z powodu bliższego stosunku Brzezińskiego do majora Bulewskiego?

ZIEMIA.

Leżą przed nami pierwsze numery tygodnika krajoznawczego ilustrowanego, który z nowym rokiem rozpoczął wychodzić w Warszawie. Tutuł jego „Ziemia" — redaktor p. Kazimierz Kulwieć. I tytuł i redaktor mówi bardzo wiele, bo „Ziemia" w umiejętny, choć popularny sposób opisze skarby naszej ojczyzny, a p. Kulwieć, jako wiceprezes Tow. krajoznawczego w Warszawie, daje nadzieję, że „Ziemia" swemu zadaniu podoła.

Pierwszy numer przedstawia się pod każdym względem dodatnio. Treść pogłębiona naukowo, a podana stylem pięknym i obrazowym, ilustracje oryginalne w dobrych reprodukcjach, strona zewnętrzna bez zarzutu.

O „żywych kamieniach" napisał u wstępu p. Kulwieć rzecz bardzo żywą. Wspomniawszy o „bożych stopkach" zaprowadził drużynę czytelników pod kamień Filaretów, leżący w odległości paru wiorst od Tuhanowicz, w powiecie nowogródzkim, niedaleko od drogi, wiodącej z Tuhanowicz do Baranowicz, na skraju niewielkiego dziś lasku, pozostałości wielkiego jeszcze za czasów Mickiewiczowskich boru, w pięknym jarze, okolonym sośniną.

Drugi żywy kamień, w tradycyjnem poszanowaniu wśród miejscowego ludu będący, znajduje się w pobliżu pola bitwy pod Maciejowicami, przy drodze, która prowadzi ze stacji kolejowej Sobolew do Maciejowic, w pobliżu sąsiedniej kapliczki. Inne żywe kamienie, to urny przedhistoryczne. Na dwie takie urny natrafił p. Kulwieć w swoich wędrówkach. Obydwie znajdują się w powiecie nowogródzkim: jedna służy dziś w kuchni do rozcierania migdałów, druga zdobi dworski ganek u drzwi wchodowych.

W „Szkicu programu badań krajoznawczych“ podał dr. Ludomir Sawicki ogrom wszechstronnej pracy, jakiej wymaga naukowe i szczegółowe zbadanie, choćby najmniejszej cząstki kraju ojczystego. Ale, ażeby wyniki poszczególnych studjów, nie pozostały zlepkiem obcych sobie dziedzin, geograf humanistycznie wykształcony postarać się musi o zjednoczenie wszystkich wyników pod jednym kątem widzenia, a jedynym punktem, który się tu nadaje, jest czysto geograficzno-genetyczny. Wszelkie zjawiska, wśród których żyje człowiek, są w ścisłej zależności od siebie, tak powstawały jedno pod wpływem drugiego i odwrotnie, że jednostka krajoznawcza, opracowana w ten sposób, przedstawi jedność i całość, natchnioną życiem, nakształt organizmu wyższego.

P. Gustaw Manteuffel rozpoczął w pierwszym numerze umiejętnie ilustrowaną i pod względem historycznym bardzo ciekawą rzecz o jeziorze Łuban w Inflantach polskich, wiadomość zaś o pamiątkach bitwy pod Raszynem podał p. M. Wisznicki.

W Raszynie i pobliskich Falentach, gdzie dnia 19 kwietnia 1809 broniły się zaciekle i rozpaczliwie trzy bataliony piechoty polskiej z 6 armatami, przeciw całemu korpusowi i 24 armatom austrjackim — jest do obejrzenia posąg Matki Boskiej, wystawiony w r. 1828 staraniem ówczesnego proboszcza raszyńskiego, na pamiątkę bitwy. Obok pomnika resztki szańca, w głębi zaś, dalej od szosy za szańcem znajduje się dawna kapliczka przydrożna z XVII w., pod którą wyzionął bohaterskiego ducha śmiertelnie raniony, a przeniesiony tu z olszynki falenckiej, Cyprjan Godebski. W Falentach wreszcie — oprócz resztek szańca na polach folwarcznych, w pałacu, należącym obecnie do hr. Przeździeckich, wmurowana jest tablica pamiątkowa współczesna, która opowiada, że na równinach koło tego domu została „stoczona wielka batalia z wojskiem austrjackiem pod dowództwem arcyksięcia Ferdynanda, gdzie wojska narodowe oparły się mężnie ogromnej nieprzyjaciół potędze pod dowództwem J. O. ks. Józefa Poniatowskiego, ministra wojny, naczelnego dowódzcy“.

Trafną myśl wypowiada w dalszym ciągu p. Boruta, pisząc w „gawędach krajoznawczych“: „Wyławia się (na rzecz publicznych zbiorów i prywatnych) z wiejskich kościołów cenniejsze sprzęty, wyłupuje się kamienne futryny i oddrzwia, wydziera żelazne bramy i kraty, zabiera się ze starych dworków pradziadowskie zbiory, albo portrety rodzinne. Być może, że zgromadzimy w ten sposób wielkie zbiory, ale kraj zostanie ogołocony ze wszystkiego, co mu może dodawać wdzięku i istotnej kultury. Obróćmy część tej energji na zapewnienie niszczejącym szczątkom spokojnej egzystencji na miejscu, z którego wyrosły, jak kwiat z żyznej ziemi i bądźmy pewni, że to jest również siejba na przyszłość“.

Takie myśli i zasady głosi pierwszy numer „Ziemi“. Inne. to jest dalsze, nie pozostały w tyle. Wśród wielu artykułów znajdujemy w ostatnich numerach „Ziemi“ bardzo piękną rzecz p. Kulwiecia o kanale Augustowskim i wiele innych, które pozwalają na stwierdzenie faktu, że „Ziemia“ jest obecnie najlepszem polskiem pismem krajoznawczem i znaleść się powinna w ręku każdego miłośnika rzeczy ojczystych.

Z klasycznej archeologii.

Ciemną dotychczas kartę dziejów sławnego państwa Polykratesa wypełnić wreszcie będą mogły wyniki naukowej ekspedycji niemieckiej, która na mocy zawartego przez dra Wieganda z Berlina układu z księciem wyspy And. Kopasiss'em uzyskała prawo dziesięćletniego wyłącznego badania zabytków ojczyzny Pytagorasa i poety Kteofylosa. Jak spodziewać się można wyniki tych badań będą niezmiernej wartości dla dziejów klasycznej kultury Hellady, w której jedno z pierwszych miejsc zajmowała długi czas właśnie ta wyspa morza Jońskiego. Pod wyłączne wpływy elementu greckiego dostała się Samos po zajęciu jej przez szczep joński, który wyparł dawną jej ludność karyjską. Doskonałemu swemu położeniu zawdzięcza wyspa świetny rozwój tak handlowy i przemysłowy, jak i wogóle kulturalny. Dzięki temu doszli Samijczycy w krótkim czasie do takiej potęgi i znaczenia, iż kolonie ich zakładane w różnych punktach kontynentu (n. p. Naukratis w Egipcie) długie wieki roznosiły sławę imienia ich po wszystkich zakątkach greckich.

Po zamordowaniu ostatniego króla z rodu Proklesa, dowódcy Jonów przy zajęciu wyspy, rządy na wyspie przypadły w udziale demokracji, którą wnet usunął energiczny dyplomata, sławny z licznych podań, Polykrates. Rozgałęzione stosunki jego z tyranem Pizystratem i władcą Egiptu Amazisem, jak również zdobycie kilku wysp i miast lądowych zjednało mu w Grecji ówczesnej jedno z najpierwszych i najważniejszych miejsc, ale też stało się po części przyczyną tragicznej śmierci zadanej mu podstępnie przez małoazjatyckiego satrapę perskiego. Po świetnych jego rządach trzymali się Samijczycy jakiś czas niepodlegle, ale w końcu ulegli rządom ateńskim i spartańskim. W 84 r. prz. Chr. zubożała wyspa przyłączona została do prowincji rzymskich i od tego czasu mało o niej słychać było, aż po nasze czasy. Historja wyspy za panowania na niej Bizancjum, Arabów, Wene-

cjan, Genueńczyków, a w końcu Turków (w XVI w.) mało jest dotychczas znana i dopiero z zamierzonych rozkopalisk spodziewać się można bliższego poznania jej średniowiecznego życia. Świetną rolę odegrali Samijczycy w ostatniej walce Greków o niepodległość, czemu też zawdzięczają, iż w 1832. r. wyspa uznaną została samodzielnem księstwem Dzisiejszy jej władca wspomniany Andreas Kopassis, wybitny dyplomata i znany uczony przyczynił się przedewszystkiem do podjętych badań, w których także osobisty udział brać będzie. Za cel swoich badań obrali członkowie królewskiego Muzeum berlińskiego, znaną z relacji historyków i podróżników świątynie Apollina, Artemidy, Dionyzosa, Afrodyty i Hery, jak również resztki obronnych fortyfikacji i murów. Na czele ekspedycji stanął dr. Max Oechelhäuser, który z własnych funduszów złożył 20.000 marek na koszta rozpoczętych rozkopalisk wspaniałej świątyni Hery. Znany w świecie naukowym uczony ten daje najlepszą gwarancję odpowiedniego przeprowadzenia badań na tym małym, a tak ważnym w dziejach Grecji skrawku ziemi. *B. J.*

Sprawy konserwatorskie.

Grono konserwatorów Galicji wschodniej na ostatniem swem posiedzeniu zajmowało się sprawą zorganizowania stałego współudziału władz I. instancji w opiece nad zabytkami. Po przeprowadzeniu szczegółowej dyskusji postanowiono zaproponować Namiestnictwu wydanie w porozumieniu z Wydziałem krajowym i ordynarjatami biskupimi stosownego okólnika do starostw, wydziałów powiatowych, zwierzchności gminnych i urzędów parafialnych. Nadto wyrażono życzenie, by z skarbu Państwa i z funduszu krajowego przyznano obu Gronom konserwatorskim roczną subwencję po 2000 Kor. na przeciąg kilku lat na cele sporządzenia katastru wszystkich zabytków krajowych.

Na podstawie referatu arch. p. Sadłowskiego uznano, że zastąpienie starej, niedającej się już zachować polygonalnej kopuły kościoła w Tarnopolu projektowaną przez niego kopułą elipsoidalną, utrzymaną zresztą ściśle w wymiarach dawnej — jest jedynie właściwem ze względu na konstrukcję kościoła. Natomiast postanowiono oddać pod decyzję centralnej Komisji Konserwatorskiej sprawę usunięcia obecnych hełmów wieżowych, utworzonych z szeregu małych daszków, ułożonych piramidalnie, zamiast których proponuje p. Sadłowski nowe hełmy barokowe.

Na podstawie relacji arch. p. T. Mokłowskiego uchwalono przedstawić Komisji Centralnej wniosek zezwolenia na rozebranie cerkwi drewnianej w Mielowcach (pow. Czortków), nieprzedstawiającej wartości zabytkowej, pod warunkiem atoli, zachowania charakterystycznej ściany rzeźbionej pomiędzy babińcem a nawą główną — oraz poprzeć petycję Konwentu Bazylianów o subwencję krajową na restaurację fasady barokowej cerkwi murowanej z XVII wieku w Pleśnisku (pow. Złoczów), stojącej obok miejsca, gdzie znajdowała się dawna cerkiew erekcji Izasława.

W dalszym ciągu przyjęto do wiadomości sprawozdanie p. Józefa Pełeńskiego o wynikach poszukiwań archeologicznych na terenie dawnego Halicza, zastrzegając przedłożenie w najbliższym czasie dokładnej relacji w tej sprawie.

Uchwalono nie zatwierdzić przedłożonego przez Konwent Kapucynów w Olesku projektu polichromji wnętrza tamtejszego kościoła, z uwagi, że bardziej pożądanem jest w tym wypadku malowidło jednotonowe, utrzymane w dyskretnej barwie.

Postanowiono wydelegować arch. p. Mokłowskiego do Leśnik (pow. Brzeżany) celem zbadania tamtejszej cerkwi drewnianej, która ma być rozebraną.

Przyjęto do wiadomości pismo Komisji Centralnej, która na podstawie relacji kons. Dra Hadaczka sprzeciwiła się zamierzonej demolacji synagogi z XVIII w. w Gwoździcu i zażądała od namiestnictwa zabezpieczenia tego zabytku.

Na wniosek kons. Dra Czołowskiego postanowiono poczynić starania o subwencję krajową na restaurację cennych fresków figuralnych i architektonicznych z XVII w., pędzla Stroińskiego w kościele w Krystynopolu.

Nastąpiły komunikaty kons. Dra Hadaczka o nowych odkryciach zabytków archeologicznych:

W Dżurkowie (pow. Horodenka) natrafiono przy budowie drogi w głębokości $1^1/_2$ m., na cmentarzysko, z którego wydobyto djadem z srebrnych blaszek, naszytych na tkaninie i kolczyki w kształcie okrągłych prętów ozdobionych bronzowemi kulkami. Podobne djademy odkryto w Horodnicy i w Michałkowie. Wykopalisko to pochodzi z początków X—XI wieku naszej ery.

W Psarach (koło Rohatyna) przy budowie nowej drogi znaleziono wykopalisko, pochodzące prawdopodobnie z czasów rzymskich, w którego skład wchodzą następujące przedmioty: 7 szkieletów z głowami zwróconemi na zachód, 2 garnuszki, 2 miseczki, kubek gliniany, szpilka i agrafa miedziana. W Kałaharówce (pow. Skałat) na polach znachodzą się przy oraniu naczynia gliniane o grubych ścianach.

W okolicach Postołówki (pow. Husiatyn) są w lesie mogiły, które pochodzą z epoki neolitycznej, o czem świadczy fakt znalezienia w jednej z nich siekierki krzemiennej i urny kamiennej. W

pobliżu znaleziono przed kilku laty przy rozkopie drogi naczynia miedziane, oraz szkielet ludzki mający złote kolczyki w ustach i podobno także w nosie.

W końcu przedłożył kons. Dr. Hadaczek wydrukowany już zeszyt II trzeciego tomu „Teki konserwatorskiej“ zawierający pracę jego p. t. „Cmentarzysko ciałopalne koło Przeworska“ wraz z teczką tablic, przedstawiających we wzorowych reprodukcjach całość tego pod względem naukowym pierwszorzędnego wykopaliska. Rozprawa ta podobnie jak zeszyt III „Teki“ mieszczący pracę Dra Eugeniusza Barwińskiego p. t. „Repertorjum aktów zajęcia i sprzedaży dóbr królewskich i kościelnych“ ukaże się w najbliższych dniach w handlu księgarskim.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Mieczysław Treter. — Katalog ilustrowany wystawy mistrzów dawnych we Lwowie. (Catalogue illustré de l'exposition des maitres anciens à Leopol 1909 r.).

Pod powyższym tytułem wydany przez p. Tretera katalog wystawy dawnych mistrzów, urządzonej we Lwowie na początku z. r. w salach Muzeum Przemysłowego staraniem Andrzejowej księżny Lubomirskiej — ma bardzo wielką wartość. Wystawa ta bowiem prócz doraźnej materjalnej korzyści dla Tow. im. Dzieciątka Jezus, miała znaczenie głębsze. Była mianowicie dla laików źródłem podniosłych wzruszeń estetycznych, dla znawców zaś ponadto „zwierciadłem, w którem mogli śledzić światowe kierunki sztuki“ — jak mówi prof. Antoniewicz. Była wreszcie jakościowo doborowym materjałem do refleksji, wniosków i uogólnień dla historji malarstwa, jeśli niezupełnie nowych, to w każdym razie uzupełniających dotychczasowe jej wyniki w niejednym kierunku.

Katalog obejmuje trzy części.

Pierwsza — to właściwy katalog. Nazwiska mistrzów i tytuły według obrazów ujęte są w grupy właścicieli. Taka oczywiście podstawa podziału nie ma nic wspólnego z zadaniem katalogu. Wszelka inna byłaby stosowniejsza.

Na drugą część złożyły się wykłady wygłoszone w salach wystawy przez prof. Mycielskiego, Antoniewicza i Dr. Witwickiego, oraz przemówienie Leona hr. Pinińskiego.

Hr. Mycielski rozwija kilka obrazków z kultury i z życia artystycznego trzech minionych stuleci i omawia niektóre utwory...“ Opowiada więc językiem ciężkim, miejscami wprost niezrozumiałym o Sofonisbie, o malarstwie holenderskiem i włoskiem malarstwie portretowem w Polsce przy końcu XVIII. w.

Prof. Bołoz-Antoniewicz daje parę wartościowych i bardzo ciekawych spostrzeżeń, z których najciekawsze jest wskazanie na zawiązek idei polskiego malarstwa w upodobaniach artystycznych przodujących rodzin polskich za Stanisława Augusta. Przypuszczenie to jest bardzo oryginalne wprawdzie, ale dosyć dalekie od faktycznego stanu rzeczy. Przy tworzeniu się bowiem malarstwa polskiego, współdziałał splot zupełnie innych czynników. Upodobania zaś takie są już objawem wtórnym — i w sztuce zwykle reakcyjnym.

Dr. Witwicki wreszcie wypatruje w sposób niezwykle bystry życie estetecznych tradycji z obrazów St. Rejchana, M. Reyznera i Axentowicza. „Temperament narodowy w wykonaniu, a obraz minionego życia w temacie“ znajduje prelegent w W. Kossaku i Rozwadowskim.

Trzecią część „Katalogu...“ tworzą reprodukcje najlepszych rzeczy, jakie były na wystawie.

Pod względem typograficznym „katalog...“ jest wydawnictwem wzorowem zasługującem na uznanie tem bardziej, że wykonany został prawie siłami krajowemi. *Kaz. Jaworski.*

Turliński Zygmunt Dr. Rozwój i zakres władzy hetmańskiej do jej reformy w XVIII. w. Tarnów, 1909. 8-ka str. 31.

Rozprawka wymieniona jest właściwie streszczeniem badań dra Turlińskiego, mających okazać się w formie obszernego dzieła. Jest ona poniekąd zwięzłym komunikatem rezultatów, do jakich autor doszedł. Rezultaty to wcale poważne, skoro według nich hetman okazuje się bezpośrednim zastępcą króla, jako najwyższego wodza wojskowego. Stąd to od wyroków hetmana nie była dopuszczalna apelacja do tronu. Również dobitnie została zaznaczona rola dyplomatyczna hetmanów w stosunkach polsko-tureckich. — Walką polemiczną w sprawie dożywotności władzy hetmańskiej kończy się szkic monografji, którą niewątpliwie powitają zawodowi historycy z zadowoleniem. *Zet.*

Bogusławski Edward. Ślady po Wendach czyli Windach (Słowianach) w dzisiejszych Niemczech. Warszawa, 1908.

Z właściwym sobie talentem polemicznym zbija zasłużony autor rozlicznych prac z zakresu prehistorji słowiańskiej twierdzenia uczonych niemieckich z Rammusem i Jellinuhaysem na czele, jakoby Turyngja i Frankonia były germańskie od niepamiętnych czasów. W łańcuchu prac Kętrzyńskiego i Majewskiego, tyczących się tegoż samego przedmiotu, dotychczas jeszcze spornego, stanowi przyczynek drobny p. Bogusławskiego nowe ogniwo, z którego znaczeniem liczyć się będą musieli nawet najbardziej zaciekli hakatyści-„uczeni“. *Zet.*

NOTATKI.

Instytut archeologiczny w Kijowie. Odkrycia archeologiczne, porobione w ostatnich latach w Kijowie, wywołały znaczne zainteresowanie archeologją. Odkrycia te wykazały również, że Kijów i jego okolice obfitują w zabytki archeologiczne, wymagające systematycznego zbadania. Z tego powodu wśród profesorów tamtejszych powstała myśl otwarcia instytutu archeologicznego w Kijowie, na wzór istniejących w Petersburgu i Charkowie. Projekt został już opracowany.

Zabytki polskie w Norymberdze. Niedawno otrzymało muzeum germańskie w Norymberdze w darze od małżonków Nereter cały szereg różnych zabytków, odziedziczonych, po zbieraczu Schweiggerze. Wśród tych zabytków znalazł się, jak donoszą niemieckie pisma fachowe „interesujący album sztychowanych portretów osobistości polskich oraz akwarelowe rysunki polskich uniformów z czasów walk o niepodległość“.

Pierścień Stefana Batorego. Bardzo kosztowne „Polonicum“ ma do zbycia antykwarska firma „Franz Meyer“ w Dreźnie. Jest to żelazny pierścień rzekomo króla polskiego Stefana Batorego, bogato rytowany, czy rzeźbiony z portretem tegoż króla, rytym na białym kamieniu. Firma zapewnia, że jest to bardzo piękna i artystyczna robota z XVI. wieku, której autentyczność nie ulega wątpliwości, chociaż roboty tego rodzaju z tych czasów są bardzo rzadkie. Na płaskorzeźbach tych wyrażone być mają sceny z koronacji Stefana Batorego i t. p. Odpowiednio do wszystkich zalet tego pierścienia, którym zresztą powinny się zająć Koła fachowe, żąda zań wspomniana firma 5000 marek.

Z „Drukarni Polskiej“. Nakładem „Kurjera Lwowskiego“.